

T o m a s z P o m p o w s k i

ŚWIĘTY NA POLU CHWAŁY

T o m a s z P o m p o w s k i

ŚWIĘTY NA POLU CHWAŁY

*poruszająca historia księdza,
który oddał życie,
ratując dusze swoich żołnierzy*

Rafael

Kup książkę

Redakcja

*Marlena Pawlikowska
Przemysław Wrężlewicz*

Korekta

Agata Chadzińska

Projekt okładki

Łukasz Kosek

Skład

Łukasz Sobczyk

Fot. na okładce

*Wikimedia Commons
HomeofHeroes*

ISBN 978-83-7569-511-3

© 2014 Dom Wydawniczy RAFAEL
ul. Dąbrowskiego 16, 30-532 Kraków
tel./fax: 12 411 14 52
e-mail: rafael@rafael.pl
www.rafael.pl



Drukarnia RAFAEL
www.drukarnia.rafael.pl
drukarnia@rafael.pl

[Kup książkę](#)

DZIEŃ OSTATNI

„Zrozumiałem wtedy, że on nie przeżyje Wietnamu, że to poświęcenie dla nas stanie się jego ofiarą. O jego śmierci dowiedziałem się dopiero po zakończeniu służby na froncie. Nie ma dnia, abym o nim nie myślał (...) Miał ogromny i pozytywny wpływ na moje życie. Będę zawsze dziękował Bogu, że pozwolił mi dzielić z ks. Vincentem tę krótką część jego życia”.

MICHAEL JOHNSON,
weteran, emerytowany szef policji

We wrześniu na południu wybrzeża Morza Chińskiego słońce chowa się za horyzontem wczesnym popołudniem. To tu leży jedno z trzech największych portowych miast Wietnamu – Da Nang, do którego ze stolicy, Sajgonu, leci się dwie godziny, a z leżącego na północy Hanoi tylko 20 minut krócej. Nad Da Nang wznoszą się malownicze Góry Annamskie, których najwyższy szczyt sięga 1500 metrów nad poziomem morza.

Późnym latem, gdy zaczyna się pora deszczowa, w dolinie rzeki Ly Ly nagrzana ziemia, a częściej pełne wody pola ryżowe po zderzeniu z chłodniejszym powietrzem parują, tworząc pewnego rodzaju mgłę. Tamtejsi mieszkańcy nazywają to zjawisko „chusteczką”.

I rzeczywiście, sierż. Mark Willey, choć – jak mówiono – miał sokole oko, to jednak nie potrafił stwierdzić, czy szara, pionowa, unosząca się nad doliną mgła to pasmo powietrza pod wysokim ciśnieniem czy dym z ogniska. Jego czternastometrowa powietrzna karetka, helikopter Sikorsky UH-34D, zawisła nad lasem. Willey, zgodnie z rozkazem, nie używał radia. Doskonale wiedział, że tam, dokąd leci, w okolicach wioski Dong Son, marines z 5 Pułku Kompanii D od świtu starają się odeprzeć oddziały komunistów z armii Wietnamu Północnego. Marines zostali zaskoczeni atakiem o 4.30 nad ranem¹. A miało być zupełnie inaczej...

Dowództwo amerykańskie długo planowało operację „SWIFT”, która miała zapewnić bezpieczeństwo w prowincji Que Son w czasie wyborów oraz powstrzymać partyzantów – komunistycznych płatnych morderców dokonujących masakry okolicznych wiosek. Niechętnych do współpracy z komunistycznym rządem dla przykładu mordowano na miejscu, a czasem, okazując litość, przestrzeżliwano im kolana i łokcie, żeby nie byli w stanie udzielać pomocy wrogom. Tych metod partyzanci nauczyli się od instruktorów z Rosji zwanych sowieckimi doradcami wojskowymi. Jednak terror tylko w niewielkim stopniu przyczynił się do zwiększenia ilości tajnych współpracowników. Co więcej, przedsiębiorczy mieszkańcy Que Son nie byli zainteresowani „wyzwoleniem spod okupacji”,

„samostanowieniem” czy „ludowymi rządami”, wizjami, które roztaczali Rosjanie wspólnie z wietnamskimi komunistami. Za radą Moskwy wymordowano więc tych, którzy stawiali nawet najmniejszy opór². Rosyjscy politruacy opracowali charakterystykę „wroga ludu”. Partyzanci dowodzeni przez rodzimych komunistów i specjalistów z sowieckich służb wojskowych postanowili wyczyścić prowincję Que Son. Do tego zadania przydzielono 2 Dywizję Wietnamu Północnego. Rosyjskie czołgi, wozy opancerzone, śmigłowce i wietnamscy żołnierze uzbrojeni w rosyjską broń przeciwlotniczą i przeciwpancerną według wojskowych doradców były najlepszym narzędziem do pozbycia się „wrogów ludu” i unicestwienia „amerykańskich imperialistów”. Wywiad Wietnamu Południowego uzyskał dokładne informacje na temat planów komunistów z Północy. Kompania D 5 Pułku marines miała zmusić komunistów do wycofania się na północ i zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom³.

Marines próbowali osłonić uzbrojone helikoptery UH-1E, ale sygnały świetlne, mające ułatwić pilotom zadanie, zdradzały również ich pozycję. Oddziały armii Wietnamu Północnego rozpoczęły zacięty atak. Wywiad marines wprawdzie zdołał wysledzić szpiegów, którzy obserwowali Amerykanów od wczesnych godzin porannych, ale intensywny i długotrwały ostrzał bronią maszynową i pociskami moździerzowymi nie pozwolił im się przegrupować.

Słońce powoli wschodziło już w Dolinie Que Son i helikoptery mogły przyjść z pomocą. Ostrzelane oddziały Wietnamu Północnego zostały zmuszone do wycofania się. Pod osłoną ognia por. William P. Vacca, który przejął dowodzenie po śmierci swojego przełożonego, zmienił

położenie oddziału – Kompanii D – a następnie wezwał do ewakuacji rannych. Do tego momentu on i jego marines bronili się przed atakiem armii Wietnamu Północnego. Głównodowodzący operacją ppłk. Peter Hilgartner rozkazał Kompanii B kpt. Thomasa D. Reesa przyłączyć się do oddziału atakowanych marines. Trzy godziny od rozpoczęcia ostrzału oddział por. Vacci otrzymał wsparcie. Jeszcze przed zajęciem swojej pozycji kompania Reesa została zaatakowana przez komunistyczne oddziały nadchodzące od strony Dong Son. Kapitan poprosił o zrzućenie gazu łzawiącego, co zmusiło komunistów do wycofania się. Marines zaatakowali, zabijając dwudziestu sześciu Wietnamczyków. W tym samym czasie nadleciały helikoptery z oddziału sanitarnego HMM-363, aby zabrać rannych z Kompanii B. Maszyny zaraz po obniżeniu lotu znalazły się pod ostrzałem przeciwlotniczym. Jeden z helikopterów UH-34, czyli dokładnie taki, jaki pilotował właśnie Willey, został trafiony, a drugi zestrzelony. Uzbrojone maszyny wznowiły atak na komunistów. Dowódca operacji rozkazał 3 Batalionowi 5 Pułku marines, zgrupowanemu około 14 kilometrów od miejsca walki, włączyć się do boju. Około trzy godziny później Kompania K i M na obrzeżach Dong Son były gotowe, aby pomóc oddziałom Vacci i Reesa. Kompania B kpt. Reesa zaatakowała zamaskowany oddział wojsk przeciwlotniczych. Wróg stracił dziewięciu żołnierzy. Oddziały Vacci i Reesa zatrzymały się w Dong Son. Natomiast Kompanie K i M, gdy tylko wyszły z lasu na pola ryżowe, zostały otoczone i ostrzelane. Na marines spadło około 200 pocisków moździerzowych i posypał się grad kul z broni maszynowej. Kompania K została znacznie osłabiona i zmuszona do podzielenia się na dwie grupy. Marines musieli się wycofać⁴.

Sierżant Willey poznał te wszystkie szczegóły, zanim wyruszył z bazy Da Nang. Z włączonego w kabinie nasłuchu wiedział, że tym razem zabierze więcej ciał niż rannych żołnierzy. Nagle usłyszał znajomy głos por. Vacci, który wzywał do zrzucenia gazu łzawiącego na zaciekle atakujące oddziały komunistów z armii Wietnamu Północnego. Chwilę później zapanowała cisza. Willey zmienił kurs maszyny, ustępując miejsca oddziałom bojowym. Gdy te zrzuciły swój ładunek, gwałtownie zniżył się nad terenem kontrolowanym przez Kompanię K, który – jak wynikało z mapy – nadawał się do lądowania.

– Gotowi? – krzyknął do siedzących za nim sanitariuszy.

Przez odsunięte szerokie wejście do kabiny wdarło się gorące powietrze, zatykając dech w piersiach. Zanim maszyna dotknęła ziemi, sanitariusze wyskoczyli i pobiegli w stronę oczekującego żołnierza.

Piloci mieli rozkaz czekać w helikopterach. Tylko w wyjątkowych sytuacjach mogli brać udział w ewakuacji rannych. Willey, nie mając wątpliwości, że ostrzał ustał tylko na chwilę, pobiegł do rannych.

Na ziemi leżeli trzech najciężej ranni z zabandażowanymi głowami i zasłoniętymi oczami. O ich życiu decydowały minuty. Obok nich było pięć zawiniętych w ciemne poncho ciał.

Sanitariusze zabrali na noszach żołnierza, który miał tylko jedną rękę. Willey i pilnujący rannych mężczyźni wnieśli do maszyny dwóch pozostałych. Zabrali też martwe ciała.

– Są zmasakrowane – powiedział żołnierz. Sierżant dopiero teraz zobaczył, że po policzkach marine płyną łzy.
– Straciliśmy naszego ojca. Zabili nam ks. Capodanno.

Poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ksiądz Capodanno? To niemożliwe. Przyjaciela marines?

Od dzieciństwa nie lubił księży. Gdy był mały, dowiedział się, że ksiądz nie chciał odprawić Mszy Świętej za jego dziadka, gdyż rodzina nie miała tyle pieniędzy, ile chciał proboszcz. Jakiś czas później, gdy tylko dowiedział się o tym nowy ksiądz, nie tylko odprawił Mszę, ale i zaprosił rodziców do siebie na poczęstunek, przepraszając za zachowanie swego poprzednika. Niechęć jednak pozostała. Po ukończeniu szkoły odszedł z Kościoła. Tutaj jednak, w Wietnamie, spotkał niezwykłego kapelana, który opowiedział mu o Bogu troszczącym się o każdego człowieka. Wówczas wyznał swój grzech i podjął decyzję, że całkowicie zaufa Panu. Kapelan – a był nim właśnie Vincent Capodanno – podarował mu Biblię. Willey stracił z nim kontakt, gdy przydzielono go do wykonywania specjalnych zadań na północy. Początkowo pisał listy, na które ks. Vince – jak go nazywano – odpisywał natychmiast. Później zaczął jednak wykonywać tajne misje na rozkaz wywiadu wojskowego i dlatego musiał przerwać korespondencję. Jakaż była jego radość, gdy po zakończeniu misji na północy dostał rozkaz przyłączenia się do oddziału w Da Nang, którego kapelanem był... Capodanno. Po przyjeździe do nowego miejsca spotkała go jednak zła wiadomość: jego ukochana groziła zerwaniem za to, że nie odpowiadał na listy przez ponad dwa miesiące. Nie pomogło tłumaczenie. Willey zwrócił się do dowódcy z prośbą o urlop, by mógł spotkać się z narzeczoną. Dowódca jednak odmówił. W tym samym czasie do oddziału przywieziono piwo, żeby żołnierze mogli się

choć trochę zrelaksować. Willey wypił za dużo i zaczął się kłócić. Lekarz, czuwający, by marines nie wypili za dużo, uznał, że powinien już opuścić namiot, który pełnił rolę baru. Rozgoryczony sierżant nabił broń i postanowił dać nauczkę dowódcy, który odmówił mu urlopu. Wcześniej jednak chciał wypić jeszcze jeden łyk orzeźwiającego, złocistego napoju. W wejściu do polowego baru spotkał tego samego lekarza. Podeszedł on do Willeya i zabrał mu broń. Sierżant, już po fakcie, dowiedział się, że wyznał mu wówczas, iż chciał zastrzelić dowódcę. Ten bez namysłu zaprowadził go do kapelana. Ksiądz Capodanno pozwolił sierżantowi opowiedzieć o swojej narzeczonej, jej i swojej rodzinie, a następnie wyzalić się na dowódcę. Żołnierz nigdy nie zapomniał, co mu wówczas powiedział: „Musi cię to mocno boleć. Bardzo ci współczuję. W Piśmie Świętym jest napisane: «Jedni drugich brzemiona noście». Jesteś moim bratem, traktuj mnie w ten sposób. Jak tylko będę mógł, chcę nosić z tobą to wszystko, co ciąży ci na sercu. To miejsce jest otwarte dla ciebie w dzień i w nocy – mówiąc to, wskazał na namiot. – Kiedy tylko chcesz, przyjdź, to porozmawiamy. Pamiętaj, Bogu zależy na tobie. I mnie również”. Zanotował te słowa w swoim dzienniczku. Choć wkrótce przeniesiono go z Da Nang, wiedział, że zawsze może zwrócić się o radę do ks. Capodanno.

Myślał o tym, gdy niósł kolejne czarne poncho. W jednym z nich znajdowały się szczątki kogoś, kto pomógł mu zmienić życie na lepsze, kto sprawił, że poczuł się jak nowo narodzony.

Z zamyślenia wyrwał go wybuch spadającego nieopodal pocisku moździerzowego. Był to sygnał, że najwyższy

czas oderwać maszynę od ziemi. Sanitariusz zajął miejsce przy karabinie maszynowym. Willey wzniósł powoli helikopter, a następnie rozpędził go. Po kilku minutach nadał umówiony kod do bazy: „Bravo. Delta. Cobra. Odbiór”.